

– To, co tak naprawdę jest sztuką, zostało zniszczone czczymi gadkami i rozdeptane przez paplaczy. Wynoszą samych siebie pod niebiosa, bogacą się, oszukują i chodzą napuszeni jak pawie. Widzę to tak samo jak ty.

Marmelstein pokiwał głową. – Jakiś dziennikarz prowadzący talk-show zaprasza do swojego programu innego dziennikarza prowadzącego inny talk-show. Preferowany jest oportunizm. Istnieje popyt na rozrywkę, sex and crime, star war, action, talk i znów sex.

– Absolutne dno i panoszący się wszędzie seksizm – zgodziła się z nim. – Praktycznie dotyczy to wszystkich. Ja już nawet nie lubię zaglądać ani do programu telewizyjnego, ani do czasopism, bo mnie po prostu odrzuca.

Kiedy na chwilę zamilkli, Marmelstein zaczął gładzić dłońią jej włosy, brwi i szyję.

– Jakiś czas temu – zaczęła – Erichson poleciał do Tokio. Znasz go. Jest współwydawcą tego nowego czasopisma. To ten mój adorator...

– Nic o tym nie wiedziałem – wtrącił zaskoczony.

– O wielu rzeczach nie wiesz – powiedziała zuchwale, ale kiedy dotarło do niej, jak bardzo go tym uraziła, dodała szybko: – Ale to nie ma znaczenia. Erichson należy do tych młodych karierowiczów, którzy dla mnie zawsze znajdują się w okresie dojrzewania. Utrzymuję czasem z nim znajomość ze względu na interesy, bo kupuje jakiś rysunek albo obraz. – Pogłaskała go po ustach i pocałowała. – Nie musisz się obawiać. Nie jest dla ciebie żadną konkurencją – zapewniła, po czym podjęła wątek: – Erichson opowiadał, że w Tokio udało mu się załatwić dwa zdjęcia do swojego czasopisma, a dokładniej na ilustracje do opowiadania, którego akcja tam się rozgrywa. Koszty podróży przekroczyły trzy tysiące euro, a zdjęcia kosztowały około tysiąca. Zgadnij, ile otrzymał za to opowiadanie autor, nie tak całkiem nieznanym?

– Prawdopodobnie nie więcej niż pięćset euro – wysunął przypuszczenie Marmelstein.

– Czy to nie dziwne? – zawołała. – Bezgraniczna bezczelność!

– Jeśli takie rzeczy wciąż jeszcze cię denerwują, to nie nadajesz się na właścicielkę galerii – stwierdził szorstko.

– Dziwne – powiedziała. – Dziwne, że ktokolwiek jeszcze zajmuje się sztuką. Szczerze mówiąc, jest ona, moim zdaniem, na straconej pozycji już w momencie powstawania. Czytałeś już może, że jeden z obrazów van Gogha wyceniono w Londynie na 1 200 000 funtów? Za życia udało mu się sprzedać zaledwie jeden obraz. I to swojemu bratu. W tamtych czasach malarz przymierał głodem.

– Nie znam przypadku, żeby któremukolwiek artyście sława po jego śmierci przyniosła jakąkolwiek korzyść – rzekł. A po chwili dodał: – Wyobraź sobie, że Morkamp oszukuje pracujących dla niego autorów.

Spojrzała na niego zszokowana i aż się podniosła z fotela. – Czy ty wiesz, co mówisz?

Marmelstein kilkakrotnie pokiwał głową. – Sprawdziałem ilości nakładów na podstawie sięgających nawet kilka lat wstecz rachunków drukarni. Porównałem to z gażami dla autorów lub ich spadkobierców. Nieścisłości dotyczą nawet autorów bestsellerów. Chodzi o to, że oficjalna liczba nakładu jest zaniżana w stosunku do liczby wydrukowanych pozycji.

– Jesteś pewny? – spytała, wciąż jeszcze nie dowierając.

– Właściwie, to nie wolno mi cię w to wtajemniczać – powiedział.

– Musisz mi obiecać, że zachowasz to dla siebie.

– A czy ci poszkodowani autorzy niczego nie zauważyli? Czy oni nie potrafią liczyć?

– Tu chodzi o długie lata. Dziesiątki lat – wyjaśnił. – Niektórzy z nich od dawna już nie żyją, a ich spadkobiercy i tak się na tym nie znają. Mogłoby to wyjść na jaw jedynie w wypadku nieoczekiwanej kontroli dokumentów w księgowości na zlecenie jednego z poszkodowanych. Ale nikt niczego nie podejrzewa i dlatego nikt dotąd się tego nie podjął.

– A księgowi? – zauważyła. – Czy oni wszyscy działają w zмовie? Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Obiecuj mi, że nikomu o tym nie powiesz – domagał się.

– Obiecuję. Chociaż nie miej mi tego za złe, ale nadal nie wierzę, że coś takiego jest możliwe.

Marmelstein wzruszył ramionami. – W zasadzie jest to banalnie proste, a jednocześnie bardzo wyrafinowane. Wszystkich odliczeń dla autorów dokonywali na zlecenie Morkampa najbliżsi

członkowie jego rodziny. Wcześniej robiła to jego żona, a teraz synowa. Poza tym nikt z pracowników nie może spamiętać tych wszystkich cyfr. W grę wchodzi przecież kilka lat. Tego nie potrafiłby nawet urząd skarbowy. Niezbędna jest odpowiednia wiedza na ten temat.

Clara podniosła się i wzięła do ręki swój kieliszek. – Przekonałeś mnie – powiedziała, wzdychając. – Śliska sprawa. Dobrze, że ty nie masz z tym nic wspólnego. – Uniosła kieliszek w jego kierunku.

– Muszę jeszcze dokładnie to wszystko przemyśleć – odparł. – Odkąd to wiem, trudno mi tak po prostu przejść nad tym do porządku dziennego. W końcu jestem związany jakby przysięgą małżeńską z tym wydawnictwem.

– Ciekawe, czy Morkamp widzi to tak samo – wtrąciła.

– To nieważne – rzekł. – I tak mam go w garści.

– Ach, więc stąd to opanowanie! – krzyknęła wesoło i znów wzięła go w ramiona. – Teraz rozumiem.

Gdy opróżnili kieliszki, Clara zaproponowała: – A może poszlibyśmy do kuchni, co ty na to? Kupiłam sałatę, francuskie salami i przewspaniały ser.

– Poczekajmy jeszcze chwilę – odpowiedział. – W żołądku mam jeszcze wyśmienity obiad, który jadłem z Robertsem. – Porozumiewawczo mrugnął do niej okiem: – A gdyby tak zamiast do kuchni iść do sypialni?

Całowali się długo i namiętnie.

– Dla mnie wciąż jest cudem, że się odnaleźliśmy w tym świecie – wyszeptał jej do ucha. Przez otwarte okno przyglądał się im kwitnący kasztanowiec.

A potem wtuleni w siebie leżeli w milczeniu. – Dzięki tobie moje serce przepętnia radość – powiedziała.

Zaśmiał się cicho. – Ileż w tym poezji.

– Nic innego nie przyszło ci do głowy? – zapytała z wyczuwalnym tonem rozczarowania.

– Wybacz mi – przeprosił ją. – Ostatnio zrobiłem się cyniczny. Widocznie jest to zaraźliwe.

Kiedy chciał się podnieść, przytuliła się do niego i wyszeptała: – Zostań jeszcze.